

Interra

W tym kraju nie ma geografii.

A nawet gdyby zamiast niej istniało coś, co mogłoby nazywać się akwagrafią, to musiałoby to być okresowe, co roku zmienne, a może nawet z uzupełnieniami i korektą wydawanymi co kwartał, by wprowadzić na mapy Interry właściwy obraz tego, co rzeczywiście kształtuje krajobraz. Bo jest to kraina ustawicznie zmieniających się nurtów rzek, potoków, strumieni i strużek wypływających z rozległego masywu górskiego, który znajduje się już poza wschodnią granicą tego kraju. Szeroka sieć potoków przekracza ową granicę, żłobiąc liczne koryta wśród leśnych pagórków i pozostawiając tu jedynie dość wąskie grzbiety i wzniesienia, które nigdy nie stają pod wodą w czasie okresowych wylewów tych strumieni. Największa powódź przychodzi zazwyczaj, jak można się zresztą spodziewać, na wiosnę, kiedy topnieje częściowo śnieg na niższych partiach gór. I choć poziom potoków opada dość szybko, bo nurt tu jest bardzo silny i szybki, na zalanych polderach woda stoi dłużej, a już na początku lata przychodzą zwykle długie i obfite deszcze z chmur idących od zachodu i zatrzymywanych na dłużej przez piętrzące się na wschodzie szczyty. I potoki znów występują z brzegów, może nieco mniej niż poprzednio – ale za to bardziej na dole, gdzie pierwsza powódź naniósł kamieni, piachu, połamanych drzew, tam teraz woda rozlewa się tak szeroko niemal, jak wiosną i nieraz szuka sobie innego ujścia, częściowo tylko wracając do starego koryta. Tu właśnie strumienie górskie łączą się ze sobą, potężniejszym nurtem wymywając w glebie meandry rzek, niosąc już to ciemny muł, już to żółty piach i osadzając je na wewnętrznym brzegu każdego zakola. Gdy nadchodzi następny przybór wody, rzeki czasami przebijają się na ostrych zakrętach, prostując koryto, ale jednak równie często dzieląc go na dwa lub więcej nurtów, choć niektóre z nich okresowo zanikać mogą w oczekiwaniu na następne deszcze. Kraj nadal znacznie tu opada, więc woda idzie szybko, w niektórych miejscach skacząc ostro na porohach, a tam, gdzie dalej rzeki napotykać wzniesiony w środku doliny skalny garb, woda zlewa się z obu jego stron, po prawej, od północy, spadając zaraz na szerokim uskoku szeregiem dwudziesto- i dziesięciometrowych wodospadów, a od południa, skręcając parę dziesiątków kilometrów jeszcze bardziej na południe, śpieszy w kilkunastu nurtach, coraz to łącząc je ze sobą lub dzieląc, aż utworzy czterystukilometrową deltę wraz z nurtami od północy, wiążąc je i splatając, to zatapiając, to odkrywając liczne łachy, wyspy i wysepki, dopóki wreszcie oba zlewiska, z północy i z południa, mieszając swe wody w uścisku, nie wyrzeźbią sobie w skalistym i stromym wybrzeżu ujścia kanionami do morza.

Tak więc w kraju Interry lądu stałego jest stosunkowo niewiele i znaleźć go można głównie na wschodzie, na połogich wzniesieniach i na szczytach leśnych wzgórz.

Jest co prawda ów Garb niemal w samym środku krainy, nie bez kozery zwanej Pobłociem, stanowiący granicę wód, granicę zlewisk, szeroki na kilkanaście, długi na kilkadziesiąt kilometrów, trudno dostępny, w wielu miejscach podcięty urwiskiem skalnym, im bardziej na zachód, tym bardziej i ściślej opłynięty wrzącą wodą. Pozostała ziemia na Pobłociu to nie łąd stały, to region polderów, to okresowe spłachetki wychylające się z wody na dwa, trzy miesiące, nigdy w tym samym kształcie i rozmiarze, nigdy na taki sam okres – niektóre można przejść suchą stopą przez całe lato, inne pozostają przez cały rok trzęsawiskiem porośniętym turzycą, sitowiem i kartowatą brzozą, jeszcze inne kwitną pięknie na wiosnę, ale trzeba się śpieszyć z sianokosami przed czerwcowymi i lipcowymi deszczami. Bo jeszcze przychodzą długie i monotonne deszcze jesienne, kraj nasiąka znowu wilgocią, podnoszą się mgły. Ostre zimy zdarzają się tu niezmiernie rzadko, klimat jest łagodny, gdyż ciepły prąd morski opływa kraj na zachodzie, choć w części wschodniej od gór ciągnie chłodem. Nawet jeśli zdarzy się zawierucha śnieżna, śnieg topnieje zaraz na trzeci dzień, a woda na trzęsawiskach pokrywa się zazwyczaj tylko cienką warstwą lodu. Dwie potężne i szerokie rzeki powstałe przez zlewisko wód na północy i na południu oraz masyw górski na wschodzie i skalisty brzeg na zachodzie stanowią naturalne granice, które trudno pokonać nieprzyjaznym gościom, jak to historia Interry potwierdziła.

Tylko niewielka liczba tubylców mieszka stale na wschodnich wzgórzach. Reszta przystosowała się do życia na wodzie i z wody. Gdzie kończy się Pogórze, ludność mieszka na barkach. Łodzie wszelkiego typu i rodzaju to powszechny i niemal jedyny środek transportu. Na czas wypasu na łągach, sianokosów, okresowych polowań na ptactwo, zbiorów trzciny, buduje się byle jak szałas, które podczas następnego przyboru woda zabiera. Lud tu silny, zaprawiony do walki z żywiołem, węchem i naskórkiem rozpoznający zmiany pogody, z naturą za pan brat, żyjący podobnie jak wydra, łos, czapla i szczupak. Bogatsi pobudowali gdzieśgdzieś dworzec modrzewiowy z drewna spławianego z gór, w miejscu z dawną wybranym, zawsze suchym, nigdy niezatapianym, nawet w czasie najgorszej powodzi. Miejsc takich zresztą wiele nie ma i nie są one rozległe, choć z dala widoczne, bo porasta je sosna, jodła, świerk, czasem lipa i dąb. Wyspa taka przy wodzie okolona łąką i brzożami, czasem bywa na tyle duża, że i niewielka wioska tu stanie. Droga żadną tam nie dojedziesz, do sąsiadów przebrać się można tylko łodzią lub czółnem – często w którąś stronę żmudnie i podwójnie daleko, bo pod prąd. Wyspy na kilkanaście zagród stanowią jednak rzadkość.

Jak trzeba lekarza, to bieda, choć ludzie nauczyli się radzić sobie sami; każdy zna zioła, potrafi ranę i oparzelinę opatrzyć, kości złożyć, poród przyjąć. Przez obie graniczne rzeki można się dostać, choć z trudem, w dziedziny bardziej cywilizowane i technicznie rozwinięte, ale do sąsiadów człowiek wyprawia się głównie po sól i po nauki. Na północy ludzi tutejszych przeraża łoskot maszyn, turkot motorów, pośpiech i ścisk tłumów. Przyzwyczaili się do naturalnej ciszy, spowolnienia życia, spokoju przyrody, rytmu narastającej i spadającej wody, szumiącego nurtu, różnych głosów ptactwa w zależności od pory roku i dnia. Z kolei krainy południa odstrasza upałami, brakiem wody (im dalej, tym gorzej!) i trudnością porozumienia się z licznymi plemionami koczowników, z których każde mówi innym językiem lub dialektem.

Ten kraj ma jeszcze jedną właściwość, tajemniczą, przez naukę dotąd do końca nierozpoznaną. Tylko tu bowiem, w tym jedynym miejscu na całym kontynencie, rośnie i owocuje *citerilla duofruticosa*. Zaraz, gdy spłyną wody wiosennej powodzi i wytoni się pierwszy ląd, cały kraj w dolnej części tak zwanego Pogórza, we wschodniej połowie krainy, a także i w wielu miejscach na Pobłociu, pokrywa się różowo-białymi kwiatami. To zakwita niewielki krzew, pospolicie zwany bosiczką. Owocuje on dziwnie, dwójako, i bardzo szybko. Owo na długich, giętkich, bardzo mocnych pędach wyrasta w ciągu miesiąca owoc większy, tak zwana rzewka, czasem niemal tak wielki jak owoc grejfruta, początkowo biały, z czasem zielonawy, pod koniec jesieni żółto-pomarańczowy. Nie wiadomo, kiedy uznać go za owoc dojrzały, bo jadalny już od samego początku, orzeźwiający i słodki, nabiera tylko latem coraz silniejszego zapachu, by w jesieni nawet przez skórę, twardniejącą nieco z upływem czasu, czuć było ów aromat, zbliżony do zapachu wanilii. W czasie kolejnych przyborów wody, pokrywającej przecież czasowo miejsca, na których rośnie krzew, jego owoce wypływają na powierzchnię, przytrzymywane wciąż owymi długimi i mocnymi pędami, by osiąść znów na ziemi wraz z opadającym poziomem wody. Roślina zdaje się wiedzieć, jak wysoko sięgnie kolejny przybór, bo jej pędy nigdy nie są zbyt długie, tak, aby owoce układały się zawsze wokół rosnącego pod wodą krzewu, który może przetrwać pod powierzchnią nawet do zimowych mrozów. Rzewka daje się długo przechowywać, niezależnie od tego, czy zerwano ją późną wiosną, czy jesienią. Dłużej utrzymuje się przykryta słomą lub sianem. Niezerwana lub niezjedzona nie gnije, lecz schnie, aż zostaje jedynie twarda skórka, która przekrojona lub rozłupana po wyschnięciu miąższu używana jest powszechnie jako miseczka, zwana tu herlą. Herli nie można tylko używać do potraw zawierających ocet, bo nabiera wówczas przykrego zapachu, który nie daje się już później usunąć.

Drugi owoc *citerilli*, bork, nie jest jadalny; to właściwie wielograniasta pestka wielkości śliwki, twarda jak orzech, która wyrasta w pachwinie skórzastych, trójpalczastych liści na krótkich, grubych gałęziach krzewu na przemian z długimi pędami owocu jadalnego bosiczki. Liście tej, przynajmniej w połowie podwodnej, rośliny odpadają z pierwszym chłodem, orzechy nieco później, a nurt niesie je często na duże odległości, bo są dość lekkie. Wystarczy jednak, by zatrzymały się na dzień lub dwa w jakimś zakątku, zatoczce czy na tasze, by zakiełkowały i dały początek nowej *citerilli*, nawet tuż przed zimą. *Citerilla* dociera aż do nadmorskich łęgów Delt, im bliżej jednak wybrzeża, tym trudniej jest się jej zakorzenić i skąpo owocuje. Orzechy można przechowywać nawet kilka lat, a wciąż zachowują zdolność kiełkowania, ale tylko na terenach Pobłocia i Pogórza.

Bosiczka to największy skarb tej krainy. Jej zbiorów dokonuje się trzykrotnie w ciągu roku, stąd znana jest jako biała, zielona i żółta, choć im dalej od Pobłocia, tym pewniej rozpoznaje się ją jako odrębne gatunki, bardzo różnie nazywane, zależnie od kraju, a nawet dzielnic. Biały owoc nazywa się dość powszechnie bosiczką, choć na północy, zgodnie z duchem języka dominujących tam Hurów, znana jest także jako perpla. Bosiczkę zieloną zwie się na Pogórzu zazwyczaj ceterką, podobnie jak w krajach na wschód, za górami, za to na południu żółty owoc to ziemka lub zieniszka. Ponieważ

bosiczka owocuje tylko raz w roku, a zbiera się ją trzykrotnie, jako perplę, ceterkę i zieniszkę, o ilości zbiorów każdego rodzaju owocu decyduje popyt na różne ich właściwości.

Najpopularniejsza jest bosiczka biała, bo jak się okazało, zjedzenie kilku owoców znakomicie wyostrza zmysły. Nie tylko lepiej się słyszy i widzi, ale też szybciej się na bodźce reaguje – życie staje się bardziej wyraziste, bardziej smakowite. Dla młodych to tylko spotęgowanie doznań, ale dla starszych to powrót do doświadczeń młodości, do powtórzenia przeżyć dawno już nieosiągalnych inaczej. Niestety, efekt nie trwa długo, a spożycie większej ilości perpli ma dodatkowe skutki uboczne. Zwiększenie szybkości reakcji wyczerpuje jak gdyby organizm; nie rozpoznano dotychczas wystarczająco zmian zachodzących wówczas w metabolizmie człowieka, ale wiadomo, że jednorazowe zjedzenie około dziesięciu owoców może spowodować nagłą zapaść albo serce nie wytrzyma obciążenia i następuje zgon. Wiadomo też, że długotrwała dieta utrzymująca efekty wyostrenia zmysłowego przez kilkanaście tygodni nie jest wskazana nawet dla młodych, pojawiają się bowiem objawy szybkiego i nieodwracalnego starzenia się organizmu. Niemniej to właśnie perpla poszukiwana jest najczęściej na wszystkich rynkach kontynentu i jej zbiór bywa najbardziej pokaźny. Na szczęście, niezbyt częste zjadanie po kilka owoców nie wykazuje ani natychmiastowych, ani długotrwałych złych następstw.

Właściwości ceterki, czyli owocu zielonego, są bardziej ograniczone, a jej skutki dla organizmu mniej pewne, bo nie na każdego działa ona podobnie. Wydaje się, że potrafi ona przede wszystkim zwiększać możliwości rozrodcze i seksualne mężczyzn i nadaje się szczególnie do leczenia przypadków chorobowych impotencji lub niepłodności. Nie rozpoznano dotąd skutków ujemnych długotrwałego spożywania lub przejeżdżenia się ceterką, ale wyraźne jej efekty tylko dla połowy rodzaju ludzkiego ograniczają popyt na zielony owoc bosiczki i zbiór dokonuje się często, zwłaszcza na Pogórze, zgodnie z konkretnymi zamówieniami na określoną jego ilość.

Najbardziej tajemniczym i najmniej poznanym owocem bosiczki jest zieniszka, zwana także ziemką może dlatego, że po opadnięciu jesiennych wód daje się łatwo znaleźć na wyłaniających się spłachetkach ziemi dzięki pięknemu zabarwieniu. Nie ma żadnych ograniczeń dla jej spożywania, ale ponieważ legendarne właściwości owego żółto-pomarańczowego, najbardziej chyba dojrzałego, owocu, są niesprawdzone i niepewne, popyt na nią jest naprawdę niewielki i nie opłaca się jej transport do okolicznych krajów. Zwłaszcza że według tradycyjnych wierzeń tylko wieloletnia i obfita dieta zapewnić może znaczne przedłużenie życia. W rzeczywistości więc jedynie mieszkańcy Interii mogą taką nieprzerwaną dietę utrzymać, dodatkowo starając się, zgodnie z poleceniami starych klechd, wyjadać łyżeczką wewnątrz zieniszki przez kilka kolejnych dni z twardniejącej coraz bardziej herli, by błogosławione skutki spożycia były jak najbardziej pewne. Wieść gminna głosi również, że picie chłodnej wody z pustej już herli skutki te jeszcze utrwala. Wierzenia te rozpowszechnione są głównie w samej Interii, poza granicami kraju traktuje się je raczej jak stare baśnie, podobne opowieściom o smokach i bohaterach, którzy pod wpływem perpli lub zieniszki zdołali je wreszcie wytepić.

Niemniej wiadomo powszechnie, że w Interii, zwłaszcza na Pogórze, spotkać można wielu bardzo wiekowych mieszkańców, choć raczej niechętnie przyznają się oni do ilości przeżytych lat. Zazwyczaj są oni sprawni fizycznie i intelektualnie, a schodzą z tego świata najczęściej w wyniku różnych nieszczęśliwych wypadków. Zdarza się im, oczywiście, umierać również wskutek rozmaitych chorób, ale trudno je przypisać po prostu starczemu osłabieniu organizmu czy wycieńczeniu sił vitalnych. Nie prowadzono jednak dotąd badań statystycznych; trudno ustalić zarówno procent żyjących staruszków wśród całej populacji, jak i pochwalić się ustalonymi rekordami długowieczności. W rozmowach z mieszkańcami trudno jest często określić dokładnie wiek dziadka lub pradiadka. Sąsiedzi powiadają zwykle: „a, pamiętam go z dzieciństwa; on był już wtedy dojrzałym mężczyzną”. A słowo „dojrzały” mówi niewiele, zupełnie jak w odniesieniu do bosiczki: może ono oznaczać owoc wszystkich trzech kolorów. Wiadomo jednak, że rodziny pięcio- i czteropokoleniowe nie należą w Interii do rzadkości.

Owoce bosiczki spożywa się tylko w stanie surowym. Nie da się zrobić z bosiczki przetworów: w gotowaniu kompotu zabarwia go ona na ciemnobrunatny kolor i cały dom napętnia przykrym zapachem, który w napoju utrzymuje się na długo; bosiczka smażona tworzy twarde włókna bez smaku; zasypana cukrem w ciągu paru godzin pokrywa się kożuchem zielonej pleśni. Jedyny sposób przechowania rzewki na dłużej niż na kilkanaście miesięcy to jej przykrycie cienką warstwą siana w chłodnym i przewiewnym miejscu. Jej zerwanie przerywa proces dojrzewania, można więc równie długo przechować zarówno perplę, jak i ceterkę, a zieniszka – jak powiedziano – nie gnije, ale wysycha, tracąc stopniowo zawartość miąższu. Perpla i ceterka nie wysychają, lecz po dłuższym czasie tracą swoje właściwości i smak, a także zapach, po czym właśnie można poznać, czy nadają się one jeszcze do spożycia. Mówi się, że wylewanie zielonej gęstej cieczy z zepsutej perpli lub ceterki pod drzewa powoduje z czasem powstanie tam grzybni. Wyrastają z niej dość drobne, wysmukłe w kształcie, ciemnobrązowe owocniki, które mają podobno właściwości halucynogenne i znieczulające.

W przeszłości *Interra* cieszyła się niezwykłą sławą na całym kontynencie właśnie z powodu *citerilli duofruitticosy*. Niewiele wiedziano jeszcze wówczas o jej upodobaniu do warunków panujących na Pobłociu i na Pogórze; sądzono, że, jak niektóre inne rośliny, da się zasadzić i wyhodować w każdym jeziorze lub stawie albo po prostu na rozlewiskach i błotach, podobnie do *oxycocci quadripetali*. Poza granice kraju bosiczka dostawała się wtedy dość rzadko, bo tubylcy w ogóle raczej niechętnie *Interę* opuszczali i nie zawsze przecież zabierali z sobą rzewki bosiczki. Sąsiedzi zaś nie często decydowali się na niebezpieczną przeprawę przez otaczające tę krainę wody. Jednak cudowne właściwości perpli i niewielka podaż tych owoców skusiły wreszcie wojowniczych Hurów z północy do przedsięwzięcia zaborczej wyprawy na rozlewiska Pobłocia. Niemal pół tysiąca motorowych łodzi przewiozło dwadzieścia tysięcy wojowników przez graniczną rzekę *Wiz* i wyładowało tę armię na rozciągające się za rzeką łachy i trzęsawiska. Wiadomo, nie było tam dróg; okazało się, że łodzie są za duże i niezbyt poręczne, aby je przenieść na wąskie wodne przesmyki, których głębokość i wielkość trudno było przewidzieć. Bez dokładnego rozeznania

poszczególnych akwenów z trudnością orientowano się, gdzie tę armię skierować czy choćby rozlokować. Część łodzi pozostawiono na brzegu, inną część pozbawiono motorów, bo śruby zbyt często zaplątywały się w podwodne łodygi roślin i spróbowano je rozstać na trzy strony świata, by zorientować się, co tu właściwie można w tej krainie podbić. Z setki łodzi wróciło zaledwie ze dwadzieścia: żadnej z nich nie udało się wylądować na spotkanych spłachetkach stałego lądu. Wróciły osmalone, niektórzy wojownicy byli poparzeni: tubylcy zasypali ich gradem płonących strzał i ledwie się wydostali spośród palących się tratw kierowanych przez zręcznych wiosłarzy w niewielkich, kilkuosobowych czółnach. Próbę jednak ponowiono, wyprawiając się inną setką łodzi do najbliższej rozpoznanej wysepki. Była pusta. Ale nocą podpalono wyciągnięte na brzeg łodzie i mimo licznej straży udało się uratować jedynie kilkanaście, za mało, by nie tylko wyprawić się dalej, lecz także by przerzucić około czterech tysięcy ludzi z powrotem. Zdecydowano wysłać pięć z nich, aby powiadomić główną armię o kłopotach; te łodzie wszakże nigdy na pobrzeżne łachy nie dotarły. A wysepka była pusta i po trzech dniach zaczęły się kłopoty aprowizacyjne. Gdy do wyspy zbliżyło się następnych dziesięć łodzi wystanych na rekonesans, tłum wojska rzucił się do nich wptaw. Zanim wiosłarze zorientowali się, co się dzieje, już kilka z nich, przeciążonych nadmiernie, poszło na dno. Podobnie było z pozostałymi jeszcze na wyspie, które również w popłochu ściągnięto na wodę. Niektóre zatoneły na płyciźnie, ludzie z nich brnęli albo na brzeg, albo do tych nielicznych jeszcze na wodzie. Ale i tak nie wszyscy się na nich zmieścili, tłum nadal stał na brzegu, krzycząc i błagając o przysłanie większej ilości łódek. Ocalone łodzie, wypełnione ludźmi po brzegi, zawróciły wolno i niezdarne. Zbliżał się zachód, blask kładł się na wodzie, odbijał się w niej krwisto. Dopiero krzyk na wodzie sprawił, że uciął gwar na brzegu. I tu spostrzeżono flotyllę płonących tratw wyłaniających się spoza pola trzciny, szybko posuwających się w kierunku łodzi.

Z tych łodzi przebiły się przez tratwy tylko dwie. Na brzegi Wiz wróciło na nich ze trzydziestu ludzi.

Na drugi dzień dziesiątnicy na wyspie rozciągnęli wzdłuż jej skrajów ludzi z prowizorycznymi wędkami. Połów był nędzny; ryby najwidoczniej wolały się zająć potopionymi wojownikami na rozlewisku. Już po zachodzie spostrzeżono, że ryby lepiej biorą przy świetle pochodni – cała wyspa została otoczona z dala widocznymi płomykami. Szybko jednak pogasły; okazało się, że na każdy z nich spada z ciemności grad strzał.

Głód był coraz większy. Ludzie słabli. Dziesiątnicy robili wszystko, by jakoś podzielić niewystarczające połowy ryb. Nie wiedziano, że poszła następna wyprawa na wyspę, bo nawet jej z wyspy nie dostrzeżono. Powiązano tym razem łodzie po dwie, obsadzając je ledwie dwudziestką załogi, aby wziąć z powrotem oddział z wyspy. Ta załoga nie wystarczyła na odparcie ataku zwinnych czółen Interry, powiązane łodzie były zbyt nieruchawe, ludzie nie starczyło na skuteczne odepchnięcie palących się tratw, na obronę przed strzałami, na wiosłowanie i sterowanie.

Sytuacja na brzegu Wiz nie była o wiele lepsza od tej na wysepce. Hurowie stracili w ciągu dwóch tygodni jedną czwartą swej armii, nie posuwając się w głąb Interry ani o krok. Możliwości transportowe zostały też poważnie ograniczone.

Na wieść o inwazji lokalne Rady Interry rozesłały wici, na trzęsawiskach i wysepkach wokół armii Hurów pojawiało się coraz więcej członków Interry, mowy nie mogło być o dalszych wyprawach w głąb kraju. Oddziały Hurów były dość rozciągnięte wzdłuż brzegu Wiz, grunt okazał się w wielu miejscach podmokły, łachy płaskie, niewielkie. Obrona tych stanowisk w trakcie nasilających się napadów, zwłaszcza nocą, była niezwykle trudna. Zdarzyło się, że jeden z oddziałów, około pięciuset ludzi, został wybity niemal do nogi w czasie zupełnie niespodziewanego ataku wczesnym, mglistym rankiem, mimo iż oddział ten stacjonował na stałym lądzie blisko głównych sił, oddzielony od nich tylko wąskim nurtem niewielkiej rzeczki. Wielokrotnie wybuchła panika, ludzie zrywali się z niespokojnego snu po kilka razy w nocy. Nawet w dzień każda zbliżająca się z powolnym nurtem do którejś z łach kępa suchych trzciny lub łązy – co było dość powszechnym zjawiskiem na wodach Interry – wywoływała natychmiastowy alarm i podrywała ze spoczynku utrudzonych Hurów. Po następnych dwóch tygodniach zdziesiątkowany oddział na wyspie poddał się Interryjczykom, został załadowany na stare barki i przewieziony na brzeg Wiz, mnożąc tu jeszcze bardziej kłopoty aprowizacyjne oraz stając się siedliskiem chorób, głównie dyzenterii. Dowództwo Hurów zdało sobie sprawę z fatalnego położenia i w obliczu nadciągającej pory deszczy jesiennych zdecydowało się na powrotną przeprawę przez Wiz. Nie poszła ona łatwo – Hurowie stracili znów parę łodzi nie tylko z powodu ataków Interryjczyków, lecz także z powodu rwącego nurtu Wiz.

Hurowie spróbowali jeszcze dwa razy najechać Interę – czy może należałoby powiedzieć: napłynąć Interę. Drugi raz też przez rzekę Wiz, po kilkuletnim rozpoznaniu przyległych do niej akwenów w głąb krainy i na lżejszych nieco łodziach o mniejszym zanurzeniu. Rozpoznanie było niepewne: raporty zwiadowców i szpiegów różniły się znacznie między sobą. Hurowie pojawili się zaraz po roztopach wiosennych: krajobraz okazał się jednak nie do poznania! Interryjczycy po doświadczeniach poprzedniej inwazji najwyraźniej przygotowali się jeszcze lepiej i przypuszczalnie mieli też swój wywiad, który uprzedził obrońców, stąd już lądowanie na brzegu Wiz poszło bardzo trudno, zwłaszcza że woda była wysoka. Ale napastnicy przystosowali się do walki z łodzi, praktycznie nie rozbijali obozów na trzęsawiskach. Walka trwała więc dłużej, Hurowie przeniknęli dalej i opanowali parę wysepek, ale nie dawali sobie rady z wodniacką partyzantką Interryjczyków. Ponosili wciąż nieproporcjonalnie duże straty, nie potrafili się przyzwyczaić do braku większych osiedli, do konieczności operowania małymi oddziałami, do trudności z łącznością. Łupu właściwie nie było, prócz niewielkiej ilości zesztoroczonej perpli i zieniszki, więc po dwóch miesiącach daremnego wiostowania tu i tam, zdobywania i tracenia kolejnych wysepek, olbrzymiego trudu z wydłużającymi się liniami zaopatrzenia wciąż narażonymi na ataki Interryjczyków, Hurowie znów wycofali się jak niepyśni.

Ostatni najazd na Interę odbył się od zachodu. Napastnicy spróbowali się wdrzeć nurtem rzek w skalistych kanionach Delt i ponieśli tu druzgoczącą klęskę. Umieściwszy swe siły na skalistych brzegach wąskich wąwozów, Interryjczycy nie dali najmniejszych szans wrogowi. Z tego, co spłynęło rwącym nurtem do morza, nie uratował się chyba nikt, pozostały jedynie załogi z drugiego rzutu inwazji, które czekały jeszcze w zatokach

przybrzeżnych i z przerażeniem próbowały szukać żyjących pośród zwłok ludzkich i szczątków wszelakiego rodzaju łodzi spływających gęsto z górnego biegu rzek.

Więcej Interra nie była już niepokojona. Przekonano się niebawem, że twarde borki nie chce się zakorzenić nigdzie poza Pobłociem i Pogórzem, a więc nie ma wartości handlowej. Dla własnej korzyści Interyjczycy skłonni byli dostarczać perłę i ceterkę na północ i południe, łatwiej od sąsiadów dając sobie radę z przeprawą przez Wiz i Nertę, dwie graniczne rzeki krainy. Nie ma mowy o handlu ze wschodem; masyw górski stanowi tu decydującą przeszkodę dla jakiegokolwiek znaczniejszego transportu – karawana musiałaby wziąć ze sobą tyle żywności i oporządzenia dla przeprawy wysokogórskiej, że dla przeniesienia towarów nie starczyłoby sił. Do Werazmy za górami bosiczka dociera albo przez organizacje handlowe Hurów, albo dalekim południem przez plemiona koczownicze na *plateau* Damey i w dolinach Dhotta.

Rzeka Nerta stanowi granicę zupełnie odmiennych światów. Jej południowy brzeg jest wąskim pasmem niezmiernie żyznej ziemi, lekko wznoszącej się ku południowej skalistej odnodze masywu wschodnich gór, odgradzającej niewysokim już, lecz kamienistym grzbietem, porytym dolinami i dolinkami, owo żyzne pobrzeże Nerty od wyżyny Damey, początkowo trawiastej, później coraz bardziej piaszczystej i pustynnej. Handel ze spokojnym plemieniem Pojatów, osiadłym na pobrzeżu, dostarcza Interii produktów rolnych i mięsa ze stad bydła wypasanych w dolinach i na wyżynie Damey, produktów, które wymienia się za owoce bosiczki, skórki bobrowe i wydrze oraz rybę, bo Pojaci, przede wszystkim rolnicy, hodowcy bydła i koni, nie mają serca do żywiołu wodnego.

Taki to kraj, zanurzony w wodzie z dołu, polewany wodą z góry, owocujący ceterilą *duofrutticosą*, otulony we mgły i opary, dla sąsiadów niezdojony, trudny do przebycia i tajemniczy, dla stałych nawet mieszkańców przynoszący co roku niespodzianki za każdym zakrętem rzeczki, za każdą zatoczką rozlewiska, taki to kraj przyciągał nieraz przybyszów zdecydowanie niepożądanych w innych krainach i zakątkach kontynentu. Przyciągał złodziei i morderców wszelkiej maści, zbiegów i banitów, wygnańców i przemytników, a także często po prostu niepokornych i zuchwałych albo poszukiwanych, bo skrzywdzonych. Wszakże dla mieszkańców nie stanowili oni wielkiego zagrożenia. Sama przyroda potrafiła likwidować jednostki nieprzystosowane do życia w kraju, gdzie przestrzeń była niestabilna, gdzie wielkiego trudu trzeba było, by zdobyć środki do życia i gdzie ludzie nie dawali się łatwo ani oszukać, ani poddawać przemocy. Przybysze albo ginęli, albo dojrzewali do trybu życia tubylców (co zdarzało się rzadko) lub też wynosili się co prędzej tam, skąd przybyli.

I my, którzyśmy kraj ten opisali, z ulgą go opuszczamy, mając jednak jakąś nadzieję, że ilość spożytej zieniszki zapewni nam choć parę dodatkowych lat życia, zwłaszcza że staliśmy się ją wyjadać łyczekką powoli i statecznie przez kilka dni, dopóki herla nie została pusta. Pozostało nam też kilka twardych, wyjedzonych herli, z których będziemy pić źródlaną wodę, by błogostawione skutki owocu jeszcze utrwalić. Bo też w legendy starej Interry wierzymy bez zastrzeżeń, sprawdzivszy na sobie niewątpliwe działanie i perli, i ceterki.